



R O T T E R D A M

ROTTERDAM.

Rotterdam jest jedném z najznaczniejszych miast Holandyi, pierwszym może co do handlu po Amsterdampie; nazwisko jego pochodzi od rzeczki Rotter wpadającej w Mozę. Położenie Rotterdamu bardzo jest dogodne do żeglugi i handlu. Nie znamy jego początków, wiadomo tylko, że w 1240 r. otoczono je wałami i nadano mu przywileje. Wnijsście do miasta od strony rzeki, bramą zwaną *De nieuwe Hoofds Port*, jest piękne; ulice wysadzone drzewami podług wyczaju przyjętego w całej Holandyi, tworzą piękny widok; drzewa te zrządzają chłód i czyszczą powietrze podczas upałów. Podróżnego który pierwszy raz przybywa do Holandyi, najbardziej uderza widok murowanych domów, bardzo wysokich, z wielkimi oknami, pochylających się na ulicę w miarę swęj wysokości; zdaje się iż co chwila zawalić się muszą na głowy przechodzących, a jednakże są zbudowane bardzo gruntownie, czysto utrzymane i wybielone. Cóżkolwiek bądź, obraz miasta Rotterdamu mocne wzbudza zajęcie. Widać maszty z długiemi chorągiewkami: są to *Trechtschuitz*, małe lekkie statki: potem piękne aleje, domy bogato złocone; a tak w jedném miejscu, łączą się główne rysy wioski, miasta i morza.

Ta część Holandyi, pisze pewien podróżny, jest najniższym, najbardziej płaskim krajem w Europie, a może i na całym świecie. Kraj ten, chociaż nie mający tej rozmaitości wzgórków i dolin, uderza osobliwym widokiem kanałów, którymi jest przerznięty na wszystkie strony. Te pastwiska oddzielone jedne od drugich, nie murem lecz kanałami, te pola otoczone groblami w kształcie żywych płotów, te domy opasane rowami i do których idzie się po zwodzonych mostach, ta zieloność tak bujna i tak rozmaita, te roste drzewa, których cienie odbijają się w tysiącach kanałów: wszystkie te przedmioty, mają właściwą sobie zaletę w moich oczach. Żaden kraj więcej mię nie zajął i nie obudził mojej ciekawości, jak wilgotna Holandya. Podróżowałem w najdogodniejszej porze, w lecie, gdy każda okolica może nam się podobać; lekkie wyiewy z kanałów i rzek ochładzały duszący upał; wieśniacy siedząc przed domami, spokojnie palili fajkę: gospodynie powróciwszy z pola, czyściły sprzęty gospodarskie, z tém ochędostwem właściwym Holendrom; znużone krowy podnosiły łeb do góry albo też szły do wody. Rzekłbyś, iż to jest obraz

Gerarda Dow. W ogólności, na widok holenderskiego krajobrazu, pojmujemy, iż mógł natchnąć flamandzkich malarzy, którzy takim mnóstwem wiejskich widoków ozdobili galerye.

Rotterdam w tém jest wyższy od Amsterdamu, że do jego wnętrza wpływać mogą okręty kupieckie, wszelkiego rozmiaru. Stawają one przeddrzwiami sklepów, wyładują towary i biorą nowe. Zwodzone mosty podnoszą dla przepuszczenia okrętów i spuszcza je potem dla przejścia osób, czekających nad brzegami kanału. Dwóch ludzi wystarczy do podniesienia i spuszczenia największego mostu, tak są zręcznie zbudowane. Kanały zastępujące miejsce ulic, łodzie przesuwające się szybko tu i owdzie, nadają Rotterdamowi niejakie podobieństwo z Wenecją. Na tém też ogranicza się to podobieństwo; nie ma bowiem w Rotterdamie żadnych prawie pomników budownictwa; jest to porządny plac handlowy; cała jego poezya, znajduje się na tych ciężkich okrętach, przynoszących mu płody wszystkich krajów. Jednakże miasto nie jest smutne, mimo powagi i małomówności mieszkańców. Zajmującą jest żegluga po kanałach Rotterdamu, na lekkim statku, między dwoma rzędami pięknych drzew, za któremi widać domy osobliwszej budowy, z mnóstwem okien; ruch handlowy, ubiory wszystkich niemal narodów, bandery różnokolorne, wszystko to nie jest zwyczajnym pospolitym widokiem.

Boomquaj, czyli Boomqees, (aleja drzew) jest najcelniejszą ulicą miasta; ciągnie się blisko ćwierć mili, wzdłuż rzeki aż do czoła grobli, do miejsca którem woda wchodzi do Rotterdamu i napełnia kanały; widok Mozy i przeciwnego brzegu, jest bardzo piękny. Wiele domów jest z kamienia ciosowego, któren, ponieważ nie znajduje się w kraju, musiano sprowadzić wielkim kosztem; te wspaniałe domy należą do najbogatszych rodzin. Nazywają tę przechadzkę bulwarem, lecz właściwie jest to tylko szeroki taras zasadzony wiązami. Domy co go otaczają, można porównać z najpiękniejszemi pałacami Paryża. Połączają one świeżość, porządek i czystość. Podróżni chcieli przyganiać temu zbyt czystemu ochędostwu, tej drozbiagowej troskliwości w myciu i malowaniu bez ustanku wnętrza domów i ich zewnętrznych murów. Lecz, gdyby się zastanowili nad naturą klimatu, poznaliby że nadzwyczajna czystość jest nieuchronnie potrzebna do utrzymania zdrowia mieszkańców. Nie w świecie nie jest zupełnie niedorzeczném i naród nawyczajony do ścisłego obliczania wartości czasu, nie traciłby go na porządkowanie i czyszczenie, gdyby nie był przekonany

ny, że jest nieuchronnie potrzebne do utrzymania zdrowia i życia. Przy Boomquay mieszkał sławny Bayle, autor *Dykcjonarza historycznego i krytycznego*, professor filozofii i historii w Rotterdamie. Mieszkańcy znają to miejsce i każdemu cudzoziemcowi pokazują domek, na którym nazwisko jego wypisane jest złotymi literami.

W wielu częściach Rotterdamu znajdują się ślady panowania Hiszpanów. Kształt domów przypomina sposób budowania tego narodu; rozmaite gmachy wzniesione w owej epoce, jeszcze mają napisy hiszpańskie. Rotterdam jest miastem pełnym dobroczynnych instytucji, odznacza się także najczystszy duchem kupiectwa i wyuzdaną żądzą zysku. Te dwa uczucia nie są sprzeczne. Oprócz wrodzonego upodobania spekulantów w porządku i regularności, kupcy dosyć są skłonni do otwierania zakładów przytułku dla ubóstwa; już to dla umniejszenia zazdrości, już to aby uchronić się od smutnego widoku nędzy. Przytaczają ciekawe szczegóły o łakomstwie Holendrów. Podczas wielkich wojen Napoleona, rząd holenderski surowo zakazał wprowadzania towarów angielskich; lecz kupcy tym czynniej prowadzili ten zakazany handel. Wówczas, gdy postanowienia rządu były poprzylepane po wszystkich rogach ulic Rotterdamu, kupcy tego miasta ułożyli się z przedsiębiorcami francuzkimi, o dostawę sukien angielskich i dziesięć tysięcy żołnierzy francuzkich dostało mundurę z sukna wyrobionego w warsztatach ich nieprzyjaciół. Przytaczają drugi rys z czasów wojen między Anglią i Holandją. Podczas bitwy morskiej, ułożono się o kilka godzin rozejmu. Holendrzy wówczas ofiarowali Anglikom, za znaczną cenę, proch armatni, którego tymże już prawie zupełnie nie dostawało. Spodziewać się trzeba, że z czasów naszych, podobnego rodzaju postępek jużby się nie ponowił.

Między kościołami w Rotterdamie, jeden tylko S. Wawrzyńca zasługuje na uwagę. Ze szczytu wieży, widać największą część płaszczyzn Holandji. Mało jest w nim pomników godnych wzmianki: między niemi groby wielkich pensyonaryuszów Holandji, Kornela Wita, Jana de Brakel i Admirała Kornaar. Przed kilkudziesięcią laty, zbudowano w nim wspaniałe organy; jednakże niedostateczna była kwota na ten cel wyznaczona, gdyż usiłowano ażeby mogły ubiegać się o wyższość z organami w Harlem. Mylne byłoby mniemanie, że je zbudowano przez zamiętowanie w muzyce; była to kupiecka spekulacja, chciano przeciągnąć tłum, który co rok idzie do Harlem, dla słuchania tamtejszych organów,

co znaczny dochód przynosi miastu. Żaden lud, prócz samych tylko Chińczyków, tych zawziętych nieprzyjaciół wszelkiej nowości, nie jest bardziej przywiązany do płodów swego kraju. To niezmiennie przywiązanie tém bardziej zadziwia, że Holendrzy prowadząc od wieków handel ze wszystkimi częściami świata, przywożą ich rozmaite płody, lecz nie po to ażeby je przysposobić za swoje lub naśladować, albo nawet zużyć, lecz tylko po to żeby je odprzedać z zyskiem. Nie ma więc nic dziwnego, iż giełda jest najpiękniejszym, a może nawet jedynym pomnikiem Rotterdamu. Mało co możemy powiedzieć o tym gmachu, który ukończony został w r. 1736, chyba to tylko, iż tworzy długi czworobok dosyć dobrej architektury. Trzeba iść na plac giełdowy, albo raczej wniść do sali, ażeby powziąć wyobrażenie o téj osobliwszej powadze odznaczającej mieszkańców Rotterdamu, a w ogólności Holendrów. Poważne fizjonomie, czoła zamarszczone nazwyczeniem do rachub, i to jeszcze wyrzeczonych po cichu, odróżniają giełdę holenderską od hałaśliwej giełdy paryzkiej, a zbliżają do londyńskiej. Przydajmy do tego, iż ażyoterowie angielscy są spółnikami ażyoterów Rotterdamu.

Pewien rodzaj chwały literackiej spadł na Rotterdam z powodu wielkiej liczby dzieł wydanych tamże, w ciągu trzech ostatnich wieków. Rotterdam nie jest jednak miastem naukowym: wydano tam wiele książek, nie przez zamiłowanie nauk, lecz tylko dla zysku. Dzieła te, zakazane we Francji, wchodziły tam przez kontrabandę. Z tém wszystkim, panuje w Rotterdamie jeżeli nie zamiłowanie w naukach, to przynajmniej szlachetne poważanie dla znamienitych uczonych i pewien rodzaj synowskiej czci dla tych pisarzy, którzy byli rodem z Rotterdamu. Dowodem tego jest uwielbienie dla Erazma. Wystawiono mu wspaniałą posąg brązowy, na 10 stóp wysoki, umieszczony w środku mostu; zrobił go w r. 1662 Henryk Keisel sławny rzeźbiarz holenderski. Erazm, sławny erudyta, urodził się w Rotterdamie przy końcu XV wieku, wówczas gdy wynalazek druku rozszerzał się po świecie, a z nim szlachetna epoka odrodzenia nauk; gdy uczeni greccy, po upadku Konstantynopola rozeszli się po Włoszech, Francji i Niemczech. Powstały wówczas nowe wyobrażenia; pokolenie uczonych oddało się umysłowemu pracom; zamiana uczonych listów i rozpraw, wszczęta się w całej naukowej Europie. Uczony był w owej epoce uniwersalnym człowiekiem, znanym od wszystkich, podejmowanym od monarchów, którzy ubiegali się o to, aby go mogli

posiadać na dworze, albo w uniwersytecie swoim. Gdy znaleziono ułomek Homera, dobry text Eurypidesa lub Anakreona, powstawał powszechny okrzyk wdzięczności; odwiedzano sławnego erudyta; uwieńczano go w Kapitolu. Czyż reputacya była poważniejsza i czystsza jak Erazma z Rotterdamu? Cóż można porównać z tą potęgą sławy, którą czczono jednocześnie w Holandyi, we Włoszech, w Niemczech, we Francyi i w Anglii. Życie Erazma jest wiernym obrazem erudycyi jego wieku; gimnazyum Rotterdamu nosi nazwisko Erazma; a na wystawie domu w którym żył, znajduje się piękny napis na jego pochwałę.

Ludność Rotterdamu wynosi teraz 66000. Oprócz gmachów wymienionych powyżej, zasługuje na wspomnienie pałac Admiralicji, pałac byłej kompanii Indyjskiej i szpital starców. Towarzystwo batawskie nauk ścisłych i doświadczalnych i szkoła łacińska, są to najznaczniejsze naukowe zakłady tego miasta.

O ŻYCIU I PISMACH

PANI DE STAEL.

(Dokończenie.)

Czyniono ten zarzut pani de Stael, że samą siebie odmalowała w Korynnie. Może w istocie chciała osłabić uprzedzenia powzięte przeciw kobietom z wielkim talentem, może chciała okazać, jak o tém wiedziała z doświadczenia, że miłość chwały nie pociąga za sobą wad które im zwykle przypisuje zdanie powszechne. Utworzyła więc istotę podobną do siebie, kobietę połączającą potrzebę chwały z mocnym uczuciem, wynętrzenie w rozmowie z tą godnością duszy, nakazującą godność w obejściu i nareście całą moc namiętności z rozważaniem siebie i drugich, a tę istotę tak doskonale wystawiła, iż fikcya posłużyła za dowód prawdziwej i Korynna dała poznać panią de Stael.

Korynna zyskała nadzwyczajne powodzenie. Dzieło przystępne do pojęcia wszystkich, z którego artyści czerpią nowy entuzjazm, razem z nowymi środkami wyrażania go; badacze starożytności, trafne postreżenia; podróźni, potrzebne skazówki; krytycy rozsądne i dowcipne uwagi, które wzrusza nawet najzimniejsze serca, musiało podobać się wszystkim. Jednogodny okrzyk uwielbienia rozszedł się po całej Europie.

Druga podróź Pani de Stael do Niemiec w 1807 odbyta, miała na celu zebranie nowych materyałów do wszelkiego dzieła o Niemczech, uważanych pod względem obyczajów, religii i filozofii.

O Niemczech.

Włochy można było opiewać, lecz trzeba było opowiadać o Niemczech. Kraj, w którym sama tylko myśl jest wielką, gdzie sztuki, natura i towarzystwo, nie mają nic takiego co by mogło opanować wyobraźnię, nie zdołał natchnąć improwizatorkę, a jednakże więcej znajdują się tam niezmierne bogactwa umysłowe. Tam, badawcze oko pani de Stael, postrzegają odrębny zupełnie sposób czucia, marzenia i istnienia, a mnóstwo nowych wyobrażeń, które znalazła u ludzi oświeconych, potrzebowało, ażeby je wydać, całej zręczności jej talentu. Zrzucając więc przybraną postać Korynny, mówi w imieniu własnem.

Dzieło o Niemczech odznacza się zalecą wyższą nad wszystkie inne, jest głębokim moralnym i religijnym. Cnota i religia, nie są tam użyte jako środek do zrobienia wrażeń. W całym utworze panuje ta żądza, ażeby zasady odrodzenia wzięty górze, i ciągła toczy się walka z zasadami odwracającymi uczucie i wyobraźnię.

Żadna rzecz nie zdawała jej się doskonałą w Niemczech; książki, teatr, sztuka rozmawiania, nic nie było posunięte do wysokiego stopnia doskonałości. Lecz wszędzie był zapał, życie, wspólne ubieganie się między pisarzami i dobroć w społeczeństwie. — Odetchnęła swobodniej, otoczona ludźmi którzy nie narzucali żadnej tamy talentowi, żadnej granicy myślowi. Duch ożywiający pisarzy niemieckich, skłonił ją iż korzystnie o ich pracach sądziła, lecz bardziej pragnęła żeby ten duch panował we Francyi, aniżeli wskazywała literaturę niemiecką jako wzór do naśladowania.

Pierwsza część dzieła, o obyczajach Niemiec i ogólnej postaci tego kraju, zbliża się do rodzaju podróży. Pani de Stael maluje smutek którego doznała z razu, w posępny i ostrym klimacie, a potem słodsze uczucia następujące po nim. To co opowiada o zachwycającej muzyce, którą słyszała w ponury poranek zimowy, na ulicach małego miasteczka, zawalonych śniegiem, może być godnym samego kraju. Tegoż doznajemy wrażenia, ucząc się języka i literatury niemieckiej; moc i czułość przenika do naszego serca, przez mgłę nieoznaczonych i ciemnych wyrażeń. W téjże części, pani de Stael cehuje z trafnym rozsądkiem,

duch towarzystwa w rozmaitych państwach niemieckich.

Druga część traktująca o literaturze niemieckiej, jest obszerniejsza i najbardziej obudza ciekawość. W niej rozwija przed oczyma naszymi, wybór umysłowych płodów pracowitego narodu i pełnego entuzjazmu. Wprzódym nim znacznie mówić o dziełach, zapoznaje nas z pisarzami: gdyż ta literatura młoda jeszcze, liczyła zaledwie dwa pokolenia: a pani de Stael znała dostojnych starców, którzy byli jej założycielami. Ciekawem było zjawiskiem, to nagłe rozwinięcie się oryginalnego umysłu, w starym europejskim narodzie, który pod wielu względami stanął już był natym samym stopniu cywilizacji co i inne. Wystawić to zjawisko i wyjaśnić jego przyczyny, było to przedsięwzięcie godne pani de Stael.

Skręśliła obrazy pisarzy, z zapałem i życzliwością pochodzącą z jej serca. Z szczególniejszemu upodobaniem pisała o Szylle-rgo. Dobrze i wiernie wystawiła także gieniusz Getego. Wyjątki z sztuk teatralnych są zachwycające. Dwa lub trzy słowa oswajają nas z położeniem osób, a sztuka dramatyczna z całą czarodziejską potęgą natychmiast na nas działa. Język, przesady, zwyczaje krajowe, są dla niej przejrzystym szkłem, przez które widzi dokładnie, piękność uczuć, sytuacji i pomysłów literackich.

Część trzecia, o filozofii i moralności w Niemczech, jest bardziej oderwaną, trudniejszą, nie tyle bawi i przywiązuje ile dwie pierwsze; lecz niemniej dla tego winniśmy szacować piękną pracę pani de Stael, pracę przedsięwziętą dla najpiękniejszych pobudek i uskuteczniłą z największą mocą umysłu. W ośmnastym wieku, filozofia materializmu upowszechniła się w Europie, od czasu, jak zasada prawdziwa sama w sobie, posłużyła za podstawę fałszywego systemu, niszczącego wszelką odpowiedzialność moralną. Ztąd, iż żywioły naszych wyobrażeń dochodzą nas przez zmysły, wyprowadzono wniosek, że dusza jest tylko machiną służącą do odbierania wrażeń, a że działająca pojętność w człowieku, i Bog panujący nad światem, są wyobrażeniami tak ściśle łączącymi się z sobą, iż nie można jednej bez drugiej odrzucać, wyniknął był z takiego zdania, zupełny materializm czyli ateizm. Od czasów Leibniza, wszyscy filozofowie niemieccy zbijali tę naukę. Lecz chcąc przywrócić naturę moralną do praw swoich, wielu posunęło się aż do idealizmu. Pani de Stael, z zadziwiającą jasnością, a nawet z wdziękiem, zdaje sprawę z tych rozmaitych systematów. Nie ma w jej dziele żadnego

ślądu pedanteryi. Unika, ile tylko byż może, naukowych wyrazów, mówi to tylko, czego potrzeba dla ocenienia moralnego wpływu tych nauk. Nie ustanawia się bezpośrednio sędzią tego co jest prawdą, lecz przekonana, że świat cały jest dziełem myśli dobroczynnej i szczytnej, szuka prawdy w tém co najbardziej wznosi naszą duszę, w tém co nas czyni najzdolniejszemi do spełnienia rzeczy wielkich i pięknych.

Duch filozofii niemieckiej powinien był podobać się pani de Stael. Jakże sprzyja polotowi wyobraźni, filozofia która podnieca czynność duszy i świat czyni podległym pojętności! Wystawia jej zbawienny wpływ na sztuki i poezją, na nauki moralne. Nie można bez mocnego uwielbienia, czytać rozdziału o *moralności opartej na interesie osobistym*. Z niezwalczoną mocą rozumowania, z wymową i czułością jej tylko samej właściwą, pani de Stael kruszy naukę, która chce nakazywać nam ofiarę, w imię naszego własnego pożytku, która nieprzyjacielowi, to jest samolubstwu, powierza straż zagrożonego miejsca, która naznaczając za podstawę wszystkich czynności tę samą interesowaną rachubę, usprawiedliwia występki, a zniśławia cnotę. Rozdział ten, umieścił panią de Stael w rzędzie najpierwszych moralistów.

Lecz w ostatniej części dzieła o Niemczech, traktującej o religii i entuzjazmie, talent pani de Stael doszedł do najwyższego stopnia wysokości. Tam zjawia się nowa Korynna, albo raczej boski gieniusz, który zbiera w zachwycającym hymnie, wszystko co utrzymuje i wzmacnia szlachetne serca. Entuzjazm, nie jest podług niej, szalejącą exaltacją; jest to boska harmonia duszy, zarazem namiętnej i spokojnej, w której panuje cześć moralnej piękności i pierwotnego źródła wszelkiej piękności. Rozbierając najwznioślejsze rozkosze serca, myśli, a nawet wyobraźni, znajduje wszyskie w tym boskim płomieniu, odrywającym od ziemi, serce w którym płonie. Chwała, talenta, sztuki, poezya, miłość nawet, wszyskie te rozkosze tak często poniżone i spotwarzone przez człowieka, pokazują się jej w pierwotnej czystości, jako dary Stworzyciela, a promień boskiej piękności oświeca w jej oczach całą naturę.

Wiadomo jaki był los tego dzieła, Napoleon upatrzył w niem szkodliwą dążność widokom swoim, już wydrukowane exemplarze kazał zabrać i zniszczyć, a nad autorką rozciągnął najsurowszy dozór policyi. Wszyscy jej przyjaciele popadli w niefałskę u niego i pani Stael poznała iż nic dla niej nie pozostało prócz ucieczki. Nim opuściła Szwajcaryą, napisała w 1812 rozprawę o samobójstwie. Nie raz wyrzucała sobie, że

w pierwszych dziełach swoich okazała niejaki rodzaj uwielbienia, dla odwagi, której wymaga ten czyn występny. I chociaż miała wówczas ten tylko cel, ażeby oczyścić kilku nieszczęśliwych od zarzutu na który nie zasłużyli, spieszenie korzystała z następczości sposobności ogłoszenia lepszych zasad. Podwójne dobrowolne samobójstwo, połączone z romansowemi okolicznościami, wzbudziło nierozważny entuzjazm między uczonemi i w towarzystwach niemieckich. Pani de Stael uczuła, iż powinna w tém zdarzeniu odłączyć się od tych których niegdys chwaliła. Okazuje, iż człowiek może jeszcze zachować pewien rodzaj przesady, nawet w ostatniej chwili życia, i zrobić sobie widowisko z własnej śmierci. Uważając samobójstwo z ogólnego punktu widzenia, używa wszelkich sił swoich dla rozwinięcia tych pomocy, które wzniosła moralność i wzniosła religia nadaje człowiekowi w nieszczęściu. Bolesne wystawia ona w tém piśmie ja ko środek odrodzenia, użyty przez Opatrzność. Nie unikać cierpienia, które jest przeznaczone do wyskonalenia naszego, badać przepisy a zwłaszcza ducha wiary Chrystusa i zasadzać godność moralną na rezygnacji, nie na oporze, takich to rad udziela nieszczęśliwym.

Owoce szybkiej podróży a raczej ucieczki pani de Stael, przez Austryę, Rosyę, Szwecyę, do Anglii, jest dzieło p. t. *Dziesięć lat wygnania*. Czytając je, dziwić się trzeba, że pośród tylu niebezpieczeństw które sobie wyobraża i pośród tylu trudów, mogła czynić postrzeżenia nad krajami, które przebiegła tak szybko i tajemnie. Przybywszy do Anglii, przyjęta była z jak największym uniesieniem. Zwróciła bystry swój umysł na poznanie rządu i ducha tego narodu, stała się wielbicielką instytucji angielskich. Wrażenia te, opisała za powrotem do Francji, w *Uwagach nad rewolucyą francuską*, ostatniem jej dziele, o którym wspomnieć mamy.

Dzieło to, wyszło już po jej śmierci, w epoce gdy największe rozdrażnienie umysłów i największa walka stronnictw panowała we Francji; przeto sąd o tém dziele bardzo był rozmaity. Trzy przedmioty miała na celu w uwagach nad rewolucyą francuską, biografią i obronę swego ojca, Nekera, historyą okresu zaburzeń politycznych i wykład teoryi rządu. Uwielbiając formę rządu W. Brytanii, usiłuje taką samą ustalić we Francji. Część historyczna dzieła, jest najświetniejsza i najbardziej zajmująca. Stanowisko moralne obrane przez nią, jest niezmiernie uderzające. Zawsze biorąc za przedmiot serce człowieka, wykazuje tajemne jego sprężyny we wszystkich wypad-

kach życia. — Maluje kolejno, gwałtowne przesilenia namiętności, dręczące zgryzoty i nędzne zabiegi próżności. Zawsze wymowna, częstokroć miła i prosta, nieraz uderza i piorunuje oburzeniem zdjęta, a bez ogródki wystawia zbrodnie popełnione podczas rewolucji.

CIEŻKI KRZYŻ.

Charakter zazdrosny i nie zadowolony niczem, jest dla człowieka ciągłym źródłem cierpienia, jest trucizną wniechaną do jego najstodszych uciech, kołosem przyczepionym do jego obuwia, którego ukłucie czuje za każdym krokiem stawionym na drodze życia.

Robert Hope i Samuel Hullins, mieszkali obok siebie już od lat dwunastu i zdaje się, iż byliby ciągle zostawali w najlepszej zażyłości sąsiedzkiej, gdyby Samuel, służąc na flocie pod admirałem Nelsonem, nie był otrzymał za bitwę pod Trafalgar, małej pensyjki, którą opłacił stratą jednej nogi. Ta stracona noga i ta zyskana pensya, były dla Roberta ciągłym przedmiotem zazdrości. Obwiniął przeznaczenie, że mu zostawiło obie nogi i gorzko narzekał, że nie mógł sprzedać swoich, za tę samą cenę jak Hullins. Ilekroć trzeba było płacić komorne, powtarzał mruczając, że jego sąsiad był bardzo szczęśliwy, iż może łatwo uiszczyć się, dostając dobrą pensyą od króla; on zaś nieborak, ledwie zdoła przy końcu roku zetknąć brzeg z brzegiem, bez zachożenia w długi.

Robert, z początku po cichu czynił te uwagi i narzekania; lecz z czasem jego zazdrość stała się głośniejsza i wkrótce była ulubionym przedmiotem jego rozmów.

Pewnego razu, gdy zaległ komorne za jeden tydzień i smutnie zbliżał się ku domowi pana Taylor, ażeby przeprosić go za opóźnienie, spotkał swego sąsiada Hullins, który jak najregularniej opłacał swoją należność i tylko co ją był odniósł. Już sam widok Samuela nieznośny był dla Roberta; jakoż, gdy ruszył głową na pozdrowienie Hullinsa, spojrzął na niego z pod oka, ponuro, jak byk kiedy go psy podną. Przyszedszy do właściciela, usłyszał potajanie i przytoczono mu za przykład, sąsiada, który regularnie wypłaca się aż do szeląga.

— Tak jest, tak, pomruknął Robert, są ludzie którym się rodzą pieniądze. Hullins jest szczęśliwy i nie dziwię się że regularnie płaci komorne, pobierając pensyą od rządu.

— „Hullins ma pensją, to prawda, odpowiedział pan Taylor, lecz jego kalectwo jest ciężkim krzyżem i gdybyś niemi był dotknięty, bardziej byś narzekał.

— „Nie, bynajmniej: odpowiedział Hope: gdybym był tak szczęśliwy jak on i stracił nogę przed dwudziestą laty, byłby to dzień bardzo dla mnie zyskowy. Wszystkie członki moje sprzedałbym za taką cenę. Co! jego dębowe szczudło ma być ciężkim krzyżem? Ja sądzę, że jego pensja czyni je lekkim. Najcięższy krzyż jest ten, gdy kto musi pracować bez ustanku na zapłacenie komornego.

Pan Taylor był człowiekiem wesołym, lecz trafnym dostrzegaczem. Oddawna uważał za zdradę Roberta i umyślił przekonać go, że najłżejszy krzyż staje się ciężkim dla niespokojnego umysłu.

— „Widzę, rzekł do Hopego, iż masz wielką ochotę nie nie robić: a więc mogę cię uwolnić od pracy, na którą tak boleśnie narzekasz. Krzyż twojego sąsiada Samuela jest lekkim jak mówisz. Chceszli przyjąć daleko lżejszy, a ja cię zwolnię od opłaty komornego?

— „Ale jakież to krzyż każesz mi pan nosić? zapytał się niespokojny Robert, bojąc się czy będzie mógł przyjąć tę propozycją.

— „Ten o to: rzekł pan Taylor, biorąc kawałek kredy i naznaczając biały krzyż na sukni Roberta: dopóki będziesz go nosił, nie zapłacisz ani grosza za komorne.

Hope pomyślał zrazu, iż jego właściciel żartuje; lecz przekonawszy się, iż mówi na prawdę:

— „Dalibóg! zawołał, możesz pan być pewnym, że to są ostatnie moje pieniądze; gdyż gotów jestem nosić ten krzyż przez całe życie.

Robert wyszedł natychmiast, winszując sobie takiego szczęścia, a przez drogę śmiał się z pana Taylor, że za taką fraszkę skwitował go z komornego.

Nigdy jeszcze nie wrócił do domu w tak wesołym humorze; niczemu zatem nie przyganił i nawet psa nie potrafił co mu się łasić. Ponieważ zaraz był usiadł, żona nie postrzegła białego krzyża na jego ramieniu, lecz obszedłszy męża dla nakręcenia zegara, zawołała cierpkim głosem.

— „O Boże! Robercie, gdzieżeś bywał?... Masz na plecach krzyż długi na stopę. Zapewne przychodzisz z karczmy i któryś z twoich przyjaciół pijaków wyplatał ci tego figla, ażebyś jak dudek wyglądał; jak gdyby ci było jeszcze potrzeba tego śmiesznego przystrojenia?... Wstań i stój spokojnie, niech zetrę ten krzyż.

— „Pójdź precz! zawołał Hope usuwając się czempredziej; moje suknie nie potrze-

bują tego ażebyś je czyściła; rób pończochy i daj mi pokój.

— „Nic z tego! rzekła pani Hope jeszcze wrzaskliwszym głosem: i chociażbym na sztuki podarła twoją suknię, nie będziesz nosił tego krzyża.

To mówiąc, gospodyni usiłowała zetrzeć krzyż z ramienia Roberta; on zaś widząc iż wszelki opór na nic by się nie przydał, uciekł złorzecząc i drzwi za sobą zatrzasnął.

— „Co za jędza! mruknął oddalając się: gdyby była łagodniejsza, powiedziałbym jakie szczęście mię spotkało, lecz nie zaśluguje na to.

— „Hej! hej! Robercie: zawołał stary Fox, w chwili gdy Hope zawrócił się na rogu domu, cóż to znaczy ten biały krzyż który nosisz na plecach?

— „Patrz własnych sukien! zuchwale odpowiedział Hope, idąc dalej.

— „Panie Hope! rzekła małeńka Patty Steewens, córka kupcowej korzennego kramu, zaczekaj proszę cię, niech zetrę ten wielki krzyż który ci zrobiono na plecach.

— „Patrz twoich śledzi i pieprzu, próżniaczko: odpowiedział Robert: a nie wdawaj się do przechodzących.

Dziewczynka znięszana, czempredziej wróciła do kramu.

Hope doszedł przed dom rzeźnika, który rozmawiał na progu z kowalem, swoim sąsiadem.

— „A właśnie miałem do was interes: rzekł tenże zatrzymując Roberta: lecz tylko co wyrzekł słów kilka, przyszła stara Peggy Tuston, przepasana niebieskim fartuchem.

— „O Jezu! panie Hope, zawołała, biorąc fartuch w obie ręce, co też masz na plecach!...

Robert obrócił się chcąc odpowiedzieć żeby mu dała pokój, lecz kowal postrzegł w tedy znak zrobiony przez pana Taylor.

— „Dalibóg: rzekł śmiejąc się: mógłby posłużyć za szyld do karczmy pod białym krzyżem.

— „Sądzę: przydał rzeźnik: iż go tak żona naznaczyła, żeby jej nie zginął.

Hope uczył, że jeden tylko ma sposób uniknięcia fartucha stariej Peggy i szyderstw rzeźnika i kowala: jakoż odszedł natychmiast powiedziawszy dobrej kobięcinie że jest głupią babą, a sąsiadom, że są głupcy i próżniacy. Krzyż zaczął ciążyć na jego ramieniu, bardziej niżeli się spodziewał.

Rozmaite przykre spotkania czekały biednego Roberta. — Ledwie kilka kroków postąpił, nadszedł przed dom szkolny. Właśnie studenci wychodzili z klasy, gotowi nie pominąć żadnej psoty jaka im się nadarzy. Hope uczył okropną niespokojność, już mu się zdawało że śmiechy i krzyki rozlegają się za nim. Sprawdziła się

jego obawa, gdyż tylko co minął drzwi szkoły, powstał krzyk szyderczy i kilkadziesiąt studentów zaczęło biedz za nim, wytykając go palcem i podrzucając w górę czapki i kaszkieci.

— „Patrz, patrz, mówił jeden, wygląda jak baran naznaczony do jatek.

— „Czy nie widzisz, odpowiedział drugi, że zostal krzyżowcem i wyjeżdża do Palestyny?

A śmiechy i szyderstwa rozlegały się co raz mocniej.

Hope zbladł z gniewu, obrócił się jak brytan co go dzieci ścigają i może byłby srodze zemścił się na swoich młodych przeladowcach, gdyby Pan Johnson nauczyciel szkółki, nie był pokazał się w progu domu.

Robert postąpiłku niemu, żaląc się że jego szkoła składa się z samych hultajów i zuchwalców. Pan Johnson odpowiadał mu łagodnie, iż bynajmniej nie myśli upoważniać zuchwalstwa swoich uczniów; lecz krzyż biały którego nosi na plecach może pobudzić do śmiechu ludzi starszych i rozstropniejszych niżeli jego uczniowie.

— „Cóż cię obchodzi ten krzyż? odpowiedział Robert opryskliwie: czyliż moje plecy już nie są moja własnością?

Nauczyciel pożegnał go z uśmiechem, a Hope szedł dalej; lecz krzyż co raz bardziej mu ciążył.

Zaczął myśleć, iż nie tak łatwo mu przyjdzie skwitować się z komornego. Jeżeli już wytrzymać musiał tyle szyderstw, co dopiero będzie, gdy się dowiedzą o dziwacznej przyczynie ozdoby którą nosi? Na jedno wyjdzie, żeby mu właściciel przyczepił do pleców generalne pokwitowanie. Myśląc o tym, Robert przyszedł do karczmy; chciał ją minąć, lecz postrzegł samego pana Taylor o kilka kroków z tamtąd, a z drugiej strony swego sąsiada Hullinsa z drewnianą nogą, którego rozmawiał z Harrym Stokke, cieślą. Cieśla był to żartownis tej wioski i za nic w świecie Hope byłby nie zniósł ażeby szronił sobie z niego w obec Hullinsa. Schronił się więc do karczmy, lecz i tam nie mógł długo posiedzieć. Piłacy postrzegli krzyż i zaczęli z niego żartować; rozgniewał się, powstała kłótnia, a oberżysta bojąc się żeby nie przyszło do bitwy, wypędził Roberta za drzwi.

Wyszedł on był z domu dla ugodzenia się o robotę w sąsiedniej wiosce, lecz stary Fox, Patty Steewens, kowal, rzeźnik Peggy Turton i studenci, tak dalece pomieścili mu głowę, iż umyślił wrócić do domu, spodziewając się iż tam będzie spokojniejszy.

Czy widzieliście kiedy w miesiącu wrześniu, młode kuropatwę postrzeloną, usi-

lującą ukryć się w rżysku i powłóczącą zranione skrzydło. Takim był Robert, patrząc na swoje pomieszkankie znajdujące się na drugim końcu wioski. Już to szedł szybko ażeby go nie dogoniono; już to zatrzymywał się nie chcąc wyprzedzić idącego przed sobą; już to szedł drogą; to znowu przez pola; przesuwiał się za krzakami koło murów i tak troskliwie unikał oczu ludzkich, jak cygan który ukradnie kurę na folwarku. Od tej chwili, jego biały krzyż stał się niezmiernie ciężkim.

Narescie doszedł do swego domu i spodziewał się że cokolwiek spokojniej odechnie. Lecz jego żona skoro go tylko spostrzegła, zaraz zaczęła krzyczeć.

— „Czyliż się nie wstydzisz wracać tak jakś wyszedł? Pięciu lub sześciu naszych sąsiadów, już mi się pytało czyś rozum stracił. Dawaj, niech czempredziej zetnę ten krzyż.

— „Nie zbliżaj się kobięto, krzyknął rozjątrzony Robert.

— „Chociażbym miała zgubić duszę moją, nie zostaniesz z tym krzyżem; nie chcę ażeby wyszydano tego który jest moim mężem. Zdejm ten kaftan, zdejm go natychmiast.

To mówiąc, pani Hope schwytała męża za rękę. Odepchnął ją od siebie. Pani Hope nie bardzo cierpliwa, odpowiedziała policzkiem, a ztąd wszczęła się bójka między małżeństwem, z wielkim zgorzeniem sąsiadów, którzy przybiegli ich rozłaczyć.

Ma się rozumieć, iż wszyscy przyznali winę Robertowi. Gardził z razu powszechną naganą i złość dodała mu stałości, lecz im mocniej pali się ogień, tym prędziej strawi wszystko co go podsyca; podobnież u ludzi namiętnych, wyczerpuje się wkrótce energia. Robert, ochłonawszy nie miał odwagi prowadzić dalej tak przykręj walki; rozumiał, że nie znajdzie spokojności, ani w domu ani za domem, dopóki tylko będzie nosić ten krzyż na sukni i umyślił zerzść go tego jeszcze wieczora.

Następnego poniedziałku, poszedł z wieczasu do pana Taylor, z komornem w rękę.

— „Ach! ach! Robercie: rzekł pan Taylor skoro go spostrzegł: spodziewałem się, iż pożałujesz twojej umowy. Jest to dobra nauka dla niecierpliwych i zazdrosnych charakterów, którzy bez ustannie narzekają na Boga i na swój los. Przypomnij to sobie w potrzebie, mości Hope. Ten kto nas stworzył, zastósował naszą dolę do sił naszych. Nie żal się, że jesteś nieszczęśliwszy od drugich, nie wiesz bowiem co cierpi twój sąsiad. Wszystkie krzyże są ciężkie, lżejszemi może je tylko uczynić cierpliwość, odwaga i dobra wola.